

Janusz Ramotowski

część V z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **27.10.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min,
część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Panie Januszu, prosiłbym na początku, żeby Pan cofnął się do 1983 roku i do kontaktów z panem Teosiem Klincewiczem. Wspominał Pan ostatnio o jego wpadce z marca 1983 roku. Jakby Pan opowiedział o tym, o spotkaniu z nim, po wyjściu z aresztowania, jakie były wówczas panów kontakty?

Janusz Ramotowski: Teoś wyszedł na mocy amnestii, więc on wyszedł 25 lipca 1984 r. Nie wiem, czy byłem pierwszą osobą, chyba nie. W każdym bądź razie on zaczął krążyć tam, powiedzmy, po ludziach, odnawiać te kontakty. No i byłem chyba jednym z pierwszych ludzi, bo Teoś mieszkał niedaleko mnie, mógł mieszkać zupełnie oficjalnie w mieszkaniu, które mu kupiła jego matka, która mieszkała w Stanach Zjednoczonych. No i przyszedł. No przyszedł jak zwykle koło północy, ponieważ on kończył swój obchód i docierał do mnie. No i któregoś razu zadzwonił dzwonek. – Teoś. Teoś według mnie był chudy, był zmęczony. Miałem wrażenie, że go mogę wziąć na ręce i zanieść do domu na rękach. Tymczasem, jak przeglądałem materiały w IPN-ie, to tam był ten gryps Teosia z więzienia, że on prosi, żeby mu dostarczono spodnie, bo te spodnie są za małe, bo przytył. Więc przytył czy nie przytył? Według mnie nie przytył. Według mnie schudł, no ale tak to było. No i odbyło się kolejne spotkanie, prawda. Z tym samym rytuałem, te spotkania miały rytuał. On zawsze chodził z tą wielką torbą pełną różnych papierów, których mieć nie powinien przy sobie. Więc coś tam wyciągał, o czymś tam żeśmy rozmawiali, a później wkraczał do pokoju, dużego pokoju. Mieliśmy dwa pokoje: duży pokój, w którym spałem ja i moja żona i drugi pokój, gdzie spały dzieciaki. Patrzył na mnie i pyta się: „To masz, „Przem”, Mazowszankę? Bo ja miałem bimber w butelkach po Mazowszance. Mówię: „no tak, no ale w szafie”. – „Jak zwykle, załatwię”. Wkraczał do tego pokoju, gdzie spała moja żona, mówi: „Ma-

teńko, ja tylko po jedną Mazowszankę”. I żeśmy tą jedną Mazowszankę jakoś dzielnie jednak trąbili tego wieczora. I tak to zostało. To znaczy, ja już wtedy, formalnie rzecz biorąc, z tymi Grupami Teosia nie miałem nic wspólnego. Ba! Miałem surowy zakaz od Ewy Kulik w utrzymywaniu kontaktów. No ale Teosia nie szło ominąć, no bo on sam przychodził, sam się zjawiał. Czy on się w czasie tych spotkań czegoś dowiadywał? Tak. Dowiadywał się, to znaczy, nigdy nie wiedział, kiedy przyjdzie sprzęt, nigdy nie wiedział, gdzie on jest magazynowany, żadnych detali technicznych o wyładunku, przechowaniu i dystrybucji, natomiast dopytywał się zawsze: „no ale co przyszło, ale co przyszło?”. Ja myślałem, że popełniał jakieś wielką zbrodnię i nieszczęście, ale wcześniej, w czasie tego aresztowania, on wpadł z kwitem, który ja napisałem do Ewy Kulik właśnie. A ten kwit był w torbie Teosia. Więc ja myślę, że z Ewą było dokładnie to samo, że do końca kontaktów z Teosiem ona też nie potrafiła ominąć. Taki był, to był człowiek przylepa. Oczywiście zawsze coś tam łasował. Jakieś matryce, jakąś farbę. Nie szło mu odmówić, bo nie szło odmówić, prawda. Jakoś tam się tłumaczyłem, gdzie i jak to poszło. On też skontaktował mnie z Czesławem Bieleckim, który prowadził ten swój CDN. No i też formalnie rzecz biorąc, nie był na żadnej liście osób, które zaopatrywałem. Była dokładnie ta sama sytuacja, to znaczy, to znowu blachy offsetowe, znowu matryce, znowu farba. Z tym że Sławek – no bo tak każe do siebie mówić – Sławek mnie jeszcze ochrzaniał za każdym razem, że to nie takie matryce, jakie on by chciał, że to nie takie blachy, jakie on by chciał. Ci, co go znają, się wcale nie dziwią, taki jest Bielecki. Taki jest do dzisiaj zresztą, nic się w nim nie zmieniło. I to tyle. Były to bardziej wizyty towarzyskie, Teoś oczywiście opowiadał mi tam jakieś różne rzeczy z tego, co się tam w tych Grupach dzieje itd. Nie mówiliśmy o Kotarskim, bo ja na samym początku, on mi go raz przywiózł gdzieś na osiedle, nie do domu do mnie, ale na osiedle, ten człowiek mi się nie spodobał i poprosiłem Teosia, żeby po prostu nie wprowadzał go w miejsca, w których ja mogę być. No i miałem rację, prawda? Miałem rację. Więc o nim Teoś nie opowiadał chyba nigdy, a jeżeli to bardzo mało. Natomiast cała reszta, jaka tam się akcja szykuje, co tam się ma odbyć, etc., to oczywiście szło z tą... Myślę, że Teoś opowiadał bardzo wielu ludziom te rzeczy. To nie był konspirator, był to przemyśły człowiek. Jako konspirator uczył się tego w boju i uczył się na swoim charakterze, którego nie zmienił chyba nigdy. Chyba tyle mogę powiedzieć o tych spotkaniach. Poza tym, że była to jakaś olbrzymia frajda i się zawsze jakoś cieszyłem. No a skończyło się, jak się skończyło. On już później był redaktorem tego „Kuriera Mazowsze” w Regionie. Myśmy się spotkali już, powiedzmy, w tej wolnej Polsce. On mnie... Ja widziałem, że on jest potwornie zmęczony, potwornie zestresowany. Bardziej niż w okresie tamtym, naszym okresie. Więc kiedyś mówię: „Teoś, wiesz co, a przyjedź tak do mnie na trzy tygodnie, na miesiąc, ile ci się będzie podobało”. On się do mnie popatrzył i mówi: „Przemo, nie zdajesz sobie sprawy, wyjechać stąd na tydzień, to już Cię nie ma”. Ta wojna już trwała wtedy, prawda, na różnym tam poziomie i z różnym natężeniem. I Teoś był jednym z tych ludzi, którzy... Nie potrafili załapać się dostatecznie wysoko, ale nawet to miejsce, myślę, że komuś tam przeszkadzało. Więc z tego jechania nic nie wyszło. Natomiast prosił mnie, żeby mu jakiś taki notatnik konferencyjny przywiózł, bo on chce poważnie wyglądać, chce mieć to, gdzie notować, a nie na tych kwitach. No i ja ten notatnik przywiozłem i wtedy się dowiedziałem, że Teoś nie żyje. Jakoś nikt mnie o tym nie zawiadomił, tak jakoś tak poszło. No i pojechałem na cmentarz na Powązki. Piotr Mazurek – to już wiedziałem od dawna, że nie żyje. Wszedłem do kancelarii cmentarza i tam poprosiłem o namiary tych grobów. I było to dla mnie jakieś takie straszne zdarzenie. Po prostu się zryczałem. Jak dostałem te dwa adresy, że tak powiem, to po prostu zacząłem ryczeć, jak dziecko. A po łbie mi chodziła jedna jedyna myśl: Że po raz pierwszy notuję ich adresy i się nie boję, że wpadną w ręce bezpieki. No i tyle było. Pojechałem, położyłem kwiatki, popatrzyłem. Gdzieś tam pod tą ziemią leży jeden i drugi. Teraz to już odeszli tam do tej Krainy Cieni. Już to się wspomina łatwiej, ale wtedy przeżyłem to w sposób okropny, zupełnie

okropny. Chyba tylko tyle, mogę sobie przypominać i możemy tak mówić tygodniami, o Teosiu na przykład. Moje kontakty z Alkiem na początku wynikały z mojej obecności, powiedzmy, w tych Grupach Specjalnych, to się chyba wtedy nazywało Regionu. Alek podobnie jak ja, podobnie jak Wojtek Fabiński, byliśmy w tej Grupie kierującej tymi Grupami. Były to niejako kontakty służbowe. Ja nie wiedziałem o tym, że Wojtek Fabiński, pseudonim „Janusz”, nawiązał kontakt z przewoźnikiem, ze Svenem Jarnem, i że Sven zaczął wozić transporty. Dwa pierwsze transporty odebrał Alek. Kłopot polegał na tym, że Alek opowiadał o tym wszystkim dookoła, i tym, co chcieli słuchać, i tym, którzy nie chcieli słuchać. W związku z tym zdarzył się taki przypadek, że do Wojtka do domu przyszedł jakiś człowiek, jakiś konspirator chyba, no na pewno jednak konspirator. Puścił do niego oko, mówi: „słuchaj, ja wiem, że ty masz maszyny, daj mi jeden powielacz”. Wtedy Wojtek się przeraził. No bo w tym stylu to daleko nie pociągnie. I wtedy padła decyzja, on podjął decyzję o zorganizowaniu ekipy do odbioru, nie tylko do odbioru i dystrybucji. No i w tej ekipie znalazłem się ja, znalazł się Bogdan Sawicki. No i żeśmy zaczęli tę ekipę rozbudowywać. Z Wojtkiem podzieliśmy się pracą w ten sposób, że on trzymał kontakt ze Szwecją. Na szczęście miał swoje nitki, swoją pocztę, swój kontakt ze Szwecją. Nie korzystaliśmy ani z kontaktów NOW-ej, ani z kontaktów Regionu. To była tylko i wyłącznie sprawa Wojtka Fabińskiego. Ja miałem zajmować się kontaktem z Regionem, no i przygotowywać dystrybucję. Odbiory miał przeprowadzać Bogdan Sawicki. Życie jest życie, to wszystko nie było aż tak do końca wyjaśnione. Pierwszy transport, jaki odbierałem, odbierałem go z Wojtkiem Fabińskim. Wiele tego nie było, chyba były trzy powielacze, ale odbieraliśmy to na Placu Defilad, pod Pałacem Kultury, żeśmy to odbierali. No dosyć zapchanym wtedy milicją i tym wszystkim. Nie wierzyłem, że to się uda, ale się udało. Jakoś się wyładowało, wrzuciliśmy to do jego samochodu, on pojechał. No ale zaczęliśmy to robić inaczej, zrezygnowaliśmy z odbioru przy kościołach, bo to było nieszczęście, pod tymi kościołami była masa ludzi, która czekała na dary charytatywne i nie szło rozpoznać, kto jest kto. Więc zdecydowaliśmy się na odbiory w lesie. Już po rozładunku darów charytatywnych, w którym nie uczestniczyliśmy w ogóle. Sven już był pusty, wtedy mógł otworzyć skrytkę, no i wtedy my mogliśmy brać nasz towar. No i to zaczęło działać, prawda. Ja musiałem stworzyć znowu jakieś nici łączności z Regionem, niezależne od, powiedzmy, Teosia i... Alek nie miał bezpośrednio nigdy kontaktu z Regionem. Stworzyłem swoją linię, ona nie była taka znowu skomplikowana i trudna do rozpoznania. To znaczy, miałem dwie skrzynki. Jedną skrzynkę miałem u takiego kolegi, który mieszkał na tym samym osiedlu. Znał się tam od czasu, kiedy nasze córki chodziły do jednego żłobka. – Na Wawrzyszewie? – Słucham? – Gdzieś na Wawrzyszewie? – Na Wawrzyszewie, tak. On chyba na Tołstoja mieszkał. Wszystko jedno. Na tym osiedlu były te dwa różne bloki. Z tym że my żeśmy stracili ze sobą kontakt przez dosyć długo. On został nawiązany ponownie właśnie przez przypadek. Mamy jakieś takie różne wspomnienia, jak to się odbyło, Leszek twierdzi, że się odbyło... Każdy ma swoją wersję. Spotkaliśmy się. Ja mu zaproponowałem, że chcę u niego zrobić skrzynkę na odbiór poczty i przekazywanie poczty do Regionu no i że ona może też działać jako skrzynka taka awaryjna, szybka, że po prostu jednak musi nocować w domu. Byli po rozwodzie, jego żona mieszkała w Gdańsku. No ale Leszek jakoś się dzielnie dostosował i po tych nocach się nigdzie nie szłał i to działało, prawda? Ta skrzynka działała. Równolegle stworzyłem – co jest pewnie wbrew zasadom konspiracji, ale to było bardzo wygodne – stworzyłem też nitkę poprzez moją żonę. Któraś, pani Sulikowska – jak jej na imię było? – koleżanka mojej żony ze szkoły, nauczycielka też, jakoś tam wyraziła chęć robienia czegoś. No i ja wtedy zaproponowałem, żeby ona odbierała tą pocztę z Regionu, żeby ją woziła do szkoły, a w szkole w czasie zajęć przekazywała mojej żonie. No i to docierało do mnie i to odwrotną pocztą to wracało. Więc głupio, no bo gdyby była wpada, to moją panią można było też posadzić bez żadnych problemów. Ale no tak to było wymyślone, no i moja żona te kwity też

woziła. Więc mieliśmy niezależną od Grup Oporu łączność. Mieliśmy zakaz kontaktowania się z kimkolwiek i kiedykolwiek. To było dotrzymywane, jak było dotrzymywane. Bogdan Sawicki wywiózł na przykład żonę Zbyszka Janasa w góry, gdzie spotkała się z mężem. W efekcie Zbyszek się później ujawnił, bo żona zaszła w ciążę i tak dalej, i tak dalej. Więc wiele historii. –

Artur Kłus: Jakby Pan powiedział przy tej opowieści, uzupełnij ją, o to: po pierwsze, w jaki sposób Wojciech Fabiński, czyli „Janusz”, nawiązał kontakty z tym Svenem powiedzieć także, czy to wyglądało w taki sposób, iż Sven przyjeżdżał do Polski z darami pod kościoły i że tak powiem, pod tymi darami, po wypakowaniu tych darów, znajdowały się jeszcze materiały dla panów. Jakby pan to opowiedział o tym Svenie, o tym kontakcie i właśnie jak to wyglądało, co tam było przewożone?

Janusz Ramotowski: Inicjatywa wyszła ze strony Svena Järna. On był ożeniony z Polką, z Panią Janiną Gardocką, moją, jakby tu powiedzieć, jesteśmy z jednego regionu, parę wsi dalej gdzieś są Namoty, parę wsi dalej są Gardoty. Oczywiście nie miałem o tym pojęcia. Sven poprzez wizyty w Polsce jeszcze przed stanem wojennym zakochał się w Pani Gardockiej, ale zakochał się też i w Polsce. I tuż po rozpoczęciu stanu wojennego on przyjechał na granicę z darami, z pomocą żywnościową. I on przedarł się przez tę granicę. On zmusił tych WOP-isów, tych celników, że oni do Polski mają go wpuścić, chociaż nie wolno było wpuszczać. Powiózł to oczywiście w te nasze strony, na Ziemię Wiską, w łomżyńskie. W tym samym czasie, poprzez kontakty polonijne, Svena namierzył Marian Kaleta, który mieszkał w Malmö. Marian, który zajmował się przemysłem, przemysłem pomocy dla opozycji, jeszcze przed stanem wojennym. On tam mieszkał bardzo długo, długą historię przemysłową, tak to nazwijmy. Więc oni się skontaktowali ze Svenem. Marian wydobyl pieniądze z Brukseli, od Milewskiego na zakup ciężarówki. To nie była duża ciężarówka, to nie była taka Scania, Tir, jak to się mówi. To była ciężarówka sztywna, czyli kabina. Przedtem ten samochód służył do przewozu kwiatów, czegoś takiego. To było o tyle fajne, że miał zamontowaną jeszcze jakąś taką chłodnię, że ta chłodnia maskowała w sumie też i przeznaczenie tej ciężarówki. Oni w tej ciężarówce zgubili z przodu przy kabinie 70 cm na całej powierzchni tej ciężarówki. Rzeczywiście należało wejść do pustej ciężarówki, przemierzyć od środka, przemierzyć z zewnątrz, wtedy byłoby widać. Ale no kto to robił, prawda. Przy długości, powiedzmy, tej skrzyni, nikomu nie przyszło do głowy, żeby taką rzecz zrobić. Więc to było 70 cm. Zapakowali jakieś, ja nie wiem, czy nawet nie jedną maszynę. W każdym razie zapakowali jeden powielacz. Sven nie miał jeszcze w Polsce żadnych namiarów, więc pojechał z tym powielaczem znowu w te białostockie, łomżyńskie i ten powielacz dostał wtedy młody chłopak, uczeń liceum, Robert Tyszkiewicz, obecny poseł tam i tak dalej. Dla dzieciaka, młodego człowieka ze szkoły średniej nagle powielacz w rękach, no to lepiej nie można. No i tam zaczęli drukować, no i oczywiście wpadli na tym drukowaniu. Inaczej być nie mogło. No ale to była pierwsza maszyna, która przejechała. Wtedy, ponieważ żona Wojtka miała siostrę w Szwecji, więc pewnie Janeczka Gardocka nawiązała kontakt z tąże siostrą. No i w tym momencie znalazł się w tym wszystkim Wojtek. Sven przyjechał do niego i zaproponował mu, że może wozić sprzęt do Polski. Tylko kto, gdzie i jak ma to odbierać, prawda? Marian Kaleta zlecił mu nawiązanie takich kontaktów. Wojtek skontaktował się ze Zbyszkim Bujakiem. I po uzyskaniu, powiedzmy, akceptacji Zbyszka, wtedy to zaczęło robić. Wtedy przyjechały te dwa pierwsze transporty, które odebrał Alek, z tymi wszystkimi konsekwencjami. Wojtek się zaczął bać w sposób okropny, dlatego żeśmy organizowali nasz zespół. Jednocześnie Alek do koń-

ca nie potrafił uwierzyć, że on już tego nie odbiera. A że był fantastą, to on to ciągle odbierał. Całe miasto wiedziało, miasto i nie tylko to miasto, wiedziało, że Alek odbiera transporty. Patrząc na to z perspektywy dnia dzisiejszego, to zrobił dla nas dobrą robotę w sumie. Przy nim siedział bez przerwy Kotarski. Siedział tak dokładnie, że przecież on u nich mieszkał. Alek mieszkał z taką Anią Lachowską, ale Kotarski spał w fotelu, żeby ich nie spuszczać z oka. Ja myślę, że Kotarski czekał, aż wreszcie sprawa tych transportów też wypłynie. Ja nie przypuszczam, żeby Wydział VI Departament II powiedział: że to nas nie obchodzi, my się tym nie zajmujemy. A to, że Alek latał, opowiadał, że na przykład jest tamta sprawa Płocka, kiedy Alek tam urządził jakąś tam odprawę, tych struktur płockich i opowiadał o tym, jak on te transporty odbiera. Opowieści warte rzeczywiście Jamesa Bonda. Fantazja działała w sposób niezwykły. To spotkanie było nasycone Tajnymi Współpracownikami. Chyba z tej listy osób najłatwiej byłoby wykreślić tych, którzy nie byli, bo cała reszta to była. Więc ja myślę, że w sumie Alek zrobił dla nas fajną robotę, że chodził i opowiadał o tym. No i później Alka ujawniono. Według mnie cała sekwencja wydarzeń, co w tej chwili zdaje się jeszcze coraz bardziej czytelne, jest taka, że Kotarski został wprowadzony do Grup, żeby dostać kontakt z Regionem, a być może po regionie dostać kontakt z TKK. Kotarskiego do Grup wprowadził Alek, ale przez Alka nie można było w żaden sposób dostać kontaktu z Regionem, bo to trzymał w ręku Teoś. Według mnie, w mojej opinii, moim zdaniem, Teoś nie został aresztowany w sposób przypadkowy. Jego piękna opowieść o tym przypadkowym aresztowaniu, jest fajna, ale nie wydaje mi się w tej chwili prawdziwa. Ja myślę, że Teoś został aresztowany, żeby na miejsce Teosia stanął Alek. I Alek miał doprowadzić Kotarskiego do Regionu. Taka próba zresztą się odbyła. Taka próba się odbyła po aresztowaniu Teosia, kiedy Alek spotkał się z Ewą Kulig i Konradem Bielińskim. Z tym że zrobił na nich maksymalnie niekorzystne wrażenie. To było strasznie. To mi Ewa opowiadała. Ewa albo Konrad, albo obydwoje mi to opowiedali o tym spotkaniu. Więc Alek zaczął wykrzykiwać, że będzie organizował odbicie Teosia z Rakowieckiej. No i nagle zrozumieli, że tutaj nie jest potrzebny kontakt konspiracyjny, a raczej kontakt psychiatryczny. Ewa twierdzi, mówi: „słuchaj, Kuncio [Bieliński] pracował jak rasowy psychiatra, żeby wybić mu z głowy te pomysły”. W każdym razie po czymś takim oczywiście Region, czyli Ewa, Konrad – nie mówmy o Zbyszku, bo on zawsze był przecież z boku – zerwały kontakty z Grupami, zerwały kontakty z Alkiem. Kotarski przy Alku nie posunął się ani pół kroku do przodu. Zbliżała się amnestia, Teoś miał wyjść. W związku z tym myślę, że ich kombinacja operacyjna poszła w tym kierunku. Kotarski wraca do Teosia i będzie próbował się dobijać, a Alka trzeba zneutralizować, żeby nie przeszkadzał. W związku z tym Alka po prostu ujawniono. Ujawniono. Najpierw odbyła się jakaś rozmowa na ulicy czy w kawiarni, w której to powiedziano mu, że mają go w ręku. Że następnego dnia musi pójść i się ujawnić. Chyba na prokuraturę, bo tam on twierdził, że na Mostowie, a to nie, on na prokuraturze się ujawnił. No i oni go bardzo poprosili tylko, żeby uważał tego wieczoru, tej nocy, żeby go bezpieka nie zwinęła, bo oni to są z kontrwywiadu. No nawet prawdę powiedzieli, bo oni byli z kontrwywiadu MSW, Wydział VI Departamentu II. Alek się ujawnił, razem z nim ujawniła się, może nie wszyscy jego ludzie, ale olbrzymia część jego ludzi. Paru tam powiedziało, że ma to w nosie i po prostu zerwało kontakty, czy czmychnęło na lewo, na prawo. Się nigdy nie ujawnili. I później Alek zaczął szukać mnie. Zaczął szukać mnie, bo on musi się ze mną spotkać, musimy porozmawiać. W końcu żeśmy to spotkanie zorganizowali. Alek powiedział mi, że ja mam 7 dni na ujawnienie się, bo jeżeli nie, to oni mnie aresztują. Nie wiem, no ja nie potrafiłem wtedy, nie potrafię dzisiaj, nigdy nie potrafiłem podnieść rąk do góry i powiedzieć: to ja się poddam. Poza tym nie bardzo rozumiałem tą całą akcję w tym momencie, dlaczego to Alek miał mi przekazywać wiadomość, skoro jak oni mnie mają w ręku, mają mnie aresztować, mogli zrobić ten sam numer, co z Alkiem, prawda? No, można to było robić inaczej. Więc powiedziałem Alkowi, że ja śpię w domu, spałem, śpię i będę spał w domu. Jeżeli chcą, to niech

przyjadą, no i sprawa załatwiona. Natomiast ja tam na pewno nigdzie nie będę latał, nie będę się ujawniał. Mówię: „przekaż to swoim nowym kolegom”. I wtedy żeśmy się widzieli po raz ostatni. Nikt nie przyjechał, nikt mnie nie aresztował, Nic się nie odbyło. Jak to było do końca, pewnie się nigdy nie dowiemy, ponieważ istnieje możliwość, istnieje podejrzenie, że jednak byłem kiedyś spisany z mojego dowodu osobistego w obecności Alka. Jechaliśmy samochodem, zatrzymała nas milicja, ale był jakiś cywil, te dowody oglądał, spisywał. Być może, że wtedy ja się znalazłem, powiedzmy, w jakimś tam kręgu, zainteresowań tejsze bezpieki, może to nastąpiło wtedy. Ale no tak, mojej teczki nie ma, teczki Alka nie ma, no i co? Możemy się domyślać, jak to było. W każdym bądź razie tak było z Alkiem. – To wasze ostatnie spotkanie, jaki to mógł być okres? – No to on się ujawnił kiedy? On się ujawnił w jakimś październiku, prawda, coś tak, nie? – Październik 1983. – 1983 roku... Więc on natychmiast po szukał kontaktu ze mną. Ile szukał? Nie mam pojęcia, no powiedzmy, szukał tydzień, nie? Kontakt można było znaleźć, natomiast ja później musiałem znaleźć jakiś rozsądny lokal, żeby się z nim spotkać, prawda, żeby... Mogłem przypuszczać, że nie przyjdzie sam, no, diabli wiedzą, co tam może być, więc jakieś takie dobre miejsce, żeby można było czmychnąć w razie czego. Taki lokal dostałem od kogoś tam i się spotkałem. I wtedy od tego czasu aż do... Do wolnej Polski, żeśmy się już nie widzieli nigdy. Zobaczyliśmy się w wolnej Polsce, ale też to specjalnie już żadnego sensu nie ma. Zresztą nie wiem, opowiadam, to opowiadam.

Artur Kłus: A w ramach tych Grup Oporu – myślę jeszcze w tym momencie, kiedy Pan bardziej czynnie działał – to czy brał pan udział w produkcji materiałów terrorystycznych? Tu chodzi mi, chociażby o butelki samozapalne. –

Janusz Ramotowski: Produkcja butelek i kolców do przebijania opon była robiona na zamówienie, czyli na tą słynną demonstrację 31 sierpnia 1983 roku, kiedy to, jak później się okazało, nasze władze podziemne miały zamiar doprowadzić do przełamania. Mieliśmy zacząć niszczyć, wygrać już tą wojnę. Więc ja dostałem takie zadanie. Fachowcem to ja w tym nie byłem. Nie miałem żadnego pojęcia. Natomiast w księgarni, na Żoliborzu – mi się już ulice mylą i nawet na tym Żoliborzu mi się mylą – w księgarni tam znalazłem przepiękną książkę: „Pirotechnicy z fabryki »Gerlacha«”. Książkę, wspomnienia ludzi z Gwardii czy tam Armii Ludowej, którzy produkowali właśnie materiały pirotechniczne, którzy produkowali kolce, etc., etc. Książka leżała legalnie na półkach, każdy mógł ją kupić. Ja w pierwszym porywie wykupiłem wszystkie, które mieli na składzie, ale oni to uzupełniali jeszcze. I ta książka była w zasadzie podstawowym podręcznikiem. Egzemplarz, który ja miałem, on jeszcze przetrwał, mam go w Wittenheim, u siebie w domu. Piotr Izgarszew miał rewizję w domu i znaleźli tą książkę. Oglądali, dziwowali się, ale mu oddali, no bo w końcu legalna książka, kupiona w księgarni. Więc tutaj, no to cała ta produkcja, to tak jest w zasadzie dwóch ludzi, prawda? Piotr Izgarszew i znowu blisko: mój szwagier Witold Matusiak. Piotr nie miał zaplecza, w sensie, no nie wiem, przechowywania tych butelek, etc. On to niejako koordynował, natomiast Witek tam na Marymoncie mieszkając u swojej żony, to był taki mały domek, no była znaczna ilość miejsca, żeby tam nagromadzić tych butelek, tej benzyny, tego kwasu, etc. Więc oni te butelki zaczęli robić, ćwiczyli te butelki na budowanej wtedy trasie... – jak ona się cholera nazywa? – Na Wistostradzie tam gdzieś? – Słucham? – Na Wistostradzie? – Nie na Wistostradzie, tylko w poprzek jak leci. Most... Patrzcie, jaki ja jestem tępy. Ja nie znam Warszawy, ludzie, ja już nie pamiętam Warszawy. Przez Żoliborz lecimy na drugą stronę Wisły, na Bródno, później na Marki, i tak dalej, i tak dalej. Jak ten most się nazywa? No nazywa się. To było w trakcie budowy, więc oni tam te flaszki ćwiczyli. Tych flaszek mogło powstać około 100 sztuk. Myślę, że powstało około 100

sztuk tych butelek. W tym wszystkim był jeden problem, i to był błąd, zrobiliśmy jeden błąd. Cała zasada działania jest stosunkowo prosta. Jest benzyna wymieszana pół na pół z olejem napędowym, żeby się nie spalała zbyt szybko. Do tejże butelki wlewamy stężony kwas siarkowy w ilości kilkudziesięciu gramów. Butelkę się korkuje, a na wierzch nakleja się opaskę z papieru z materiałem łatwopalnym. Tutaj najczęściej to był nadmanganian potasu wymieszany z cukrem. W momencie, kiedy butelka się rozbija, krople tego kwasu spadają na tę opaskę, rozpoczyna się reakcja egzotermiczna, butelka się zapala, no i wszystko działa. No ale nagle podniosły się protesty, to był okres, kiedy i „Kolumbów” kręcili i tak dalej. Ta Ałła nieszczęsna [Halina Golanko], która tam się spaliła tymi butelkami, zrobić tak, żeby były bezpieczne, czyli uzbrajać tuż przed rzutem. No to co można zrobić? No torebkę, no torebkę taką papierową, którą od środka tym klejsem się wysmaruje, butelka do torebki, zakręcamy i rzucamy. Większość z tych torebek spadała z tych butelek, jak te butelki se leciały w powietrzu. No i po ptakach, wtedy się nie zapali. Więc to był największy błąd. Te, które się zapalały, to się zapalały, ale to należało pójść i zrobić te opaski przyklejone tak jak przepis mówił i byłoby wszystko w porządku. Nie zrobiliśmy tak, nasz błąd. No i kolce, kolce. Modele kółców pokazane w „Pirotechnikach z »Gerlacha«” jakoś mnie tam od początku specjalnie nie przekonywały. Połamłem jeszcze do Muzeum Wojska Polskiego, oglądałem, co tam jest. No i rozpoczęliśmy, przy pomocy Piotra Mazurka, on był rzemieślnikiem, jego ojciec był rzemieślnikiem, no i mieli jakiś krąg rzemieślników dookoła siebie, którzy byli gotowi udzielić pomocy. Więc próbowaliśmy powtórzyć kolce w wydaniu „Pirotechników z »Gerlacha«”. Te prototypy brał Piotr Izgarszew. On wtedy tam był jakimś dyspozytorem w jakiejś bazie ciężarówek, tam, nie wiem, z Transbudu czy czegoś innego. No i kierowcy od tych ciężarówek jeździli po tych kółcach, patrzeć, czy się te opony poprzebijają. Były ciągle reklamacje, że to jest do bani. Robione z gwoźdź, czyli gwoźdź tak, tak i tak. Te opony to odrzucały. Te kolce nitowane, robione przez „Pirotechników z »Gerlacha«”, po prostu były płaszczone przez te opony, a opona pozostawała cała. No i wtedy po jakiejś tam naradzie, burzy mózgów, z Piotrem Mazurkiem postanowiliśmy zrobić to zupełnie inaczej. Czyli po pierwsze: grubość blachy. Poszliśmy na blachę bardzo grubą, bo one miały – w tej chwili nie jestem w stanie odtworzyć – była to blacha 6 mm grubości, a może grubsza. Bez żadnego nitowania. Czyli należało wyciąć takie gwiazdki, a później te gwiazdki na prasie uformować przy pomocy matrycy, uformować na kształty kółców. Prototypy powstały oczywiście na piechotę. Piotr Izgarszew przybiegł zachwycony, darło, jak trzeba. Kierowcy też zachwyceni, bo jeździć nie musieli, bo opony im się podarły. No i ruszyła produkcja tych kółców. To znaczy, do wycinania tych gwiazdek potrzebna była duża prasa hydrauliczna. I tutaj tę prasę przez Piotra Izgarszewa w Hucie Warszawa, jedna z tych pras w tejże hucie, tam na noc sobie te blachy tłukła na ekranikach. Natomiast samo wyginanie gdzieś na Pradze, robili to rzemieślnicy już taką prasą balansową. Nie musiałoby, nie była ona tak silna, ale dostateczna, żeby to ładnie wygiąć. Tych kółców prawdopodobnie żeśmy zrobili około 2000. To później tam było rozdawane po tych Grupach, część była wykorzystywana, częściowo zostały użyte. Sam widziałem kierowcę od taksówki, powiedział, że on mnie nie zabierze. Chciałem, żeby mnie na Żolibórz zawiózł po tych wszystkich pracach. Powiedział, że on nie pojedzie, bo już dzisiaj zmieniał dwa koła. I on trzeciego koła już zmieniał nie będzie. Koniec. Tak było z tymi kółcami, prawda. I to był właściwie już taki mój łabędzi śpiew w Grupach Oporu. – Ale zarówno butelki, jak i kolce były wykorzystane podczas manifestacji? – One były wykorzystywane. Na przykład Grupa Bogdana Sawickiego wykorzystywała i butelki, i kolce. Mieli wpadkę, mieli bójkę z bezpieczeńką. Piotr Rzewuski nie dostał się do swojego magazynu. Trzeba by było tam wszystkich po kolei, bo oprócz tych kółcy, które my żeśmy robili, kolce też robił na pewno Bolek Jabłoński, który później w drukarni Rytmu etc. On tam znowu przy pomocy swoich ludzi, też kolce robił. Ja tych jego kółcy nie widziałem, nie wiem, jak one wyglądały. Możemy się spierać, bo on twierdzi, że jego były najlepsze na świecie. Ja

twierdzą, że moje były najlepsze na świecie. Ale myślę, że to nie ma żadnego znaczenia w tej chwili. Ale w każdym razie, ile z tych kolców zostało zużytych? Nie mam pojęcia. Piotr Izgarszew zrobił to w ten sposób, że wzdłuż ulicy... No obecnie Jana Pawła II, czyli to było, Marchlewskiego wtedy, on postawił jakieś trzy przyczepy kempingowe. I w tych przyczepach miał pochowane te butelki i te kolce. Piotr Izgarszew na pewno ich używał, sam widziałem. – Podczas manifestacji? – No, podczas manifestacji. Wiem, że dotarły one do Bogdana Sawickiego, do tej Grupy z Ursusa. Z tym że, tak jak mówię, na samym początku, już przy rozdawaniu butelek, dopadła ich bezpieka, no i tam odbyły się jakieś różne tam hece. Całej reszty nie wiem po prostu, nie wiem i nie wiem. –

Artur Kłus: Dobrze, chciałbym, żeby teraz Pan opowiedział, umiejscowił też mniej więcej w dacie, kiedy to było, i jak dochodzi do tworzenia Pana Grupy, która zajmowała się transportem, wspominał Pan [w książce „Głową w mur”] o lokalach Zielińskich i o państwie Kurantów, no i też... – Kuranów. – No i tutaj też Pan wspominał o Magdzie Roszkowskiej, która była niezastąpiona. Dlaczego?

Janusz Ramotowski: Magda Roszkowska to była... Ona i jej mama to były kobiety, które współpracowały z kościołem św. Marcina. I te kobiety – tam jeszcze dochodziły jakieś inne panie, już nie będę nawet próbował ich dokładnie legalizować, powiedzmy, że z okolic Warszawy, ani o nazwiskach już nie będę mówił, bo mi to z łba wyszło. W każdym bądź razie całe zaplecze socjalne, zaczynając od zupełnie podstawowego pod tytułem jakieś tam zaplecze żywnościowe do opieki medycznej, bo one miały... Kościół św. Marcina i one przez to miały zorganizowane kontakty z lekarzami, i rzeczywiście, ja na przykład nie byłem w tym, kto się wtedy sprawdzał, czy się było ubezpieczonym, czy nie, ale można było korzystać z opieki lekarskiej lepszej niż normalni ludzie. Ja wiem, że na przykład moja żona korzystała z jakiejś opieki medycznej w Wojskowym Instytucie Medycznym. I to był kontakt właśnie poprzez Magdę, czyli przez św. Marcina. Do Magdy przyjemnie było wpaść, przyjemnie było pogadać. Odpoczywało się u tych obydwu pań, bo to była jej mama i ona. No a właśnie to zaplecze socjalne, bez którego też byłoby nieraz trudno. Taka była Magda. Raz ją po stanie wojennym widziałem, jeszcze wpadłem, ale ona starsza była od nas i już taka była, no... To były jakieś tam takie... No ale to można godzinami. Koleżanka Magdy i tak dalej – to tam powieści była cała masa. –

Artur Kłus: A o tej Grupie jeszcze szczerzej, która działała z Panem podczas tych transportów, jakby pan o tej Grupie, o tych osobach opowiedział, kiedy ta Grupa powstała?

Janusz Ramotowski: Równolegle żeśmy organizowali, no bo tutaj chodziło głównie, nie tylko, ale powiedzmy, chodziło o magazyny. Bogdan Sawicki organizował swoje magazyny w okolicach, powiedzmy, Ursusa, Pruszkowa, zupełnie niezależnie ode mnie. Ja wiem na pewno, ale znowu niestety w głowie nie mam, w książce jest zapisane o jednym takim jego magazynie, gospodarstwo na wsi, to zdaje się, działało dosyć dobrze. Oprócz tego Bogdan też miał ludzi, którzy zajmowali się odbiorem, prawda? Tamtych ludzi, miał ludzi, to nie były jakieś tam dziesiątki ludzi, to było dwie, trzy osoby, prawda? Był taki Marek Parol na przykład, który z Bogdanem odbierał te transporty. W tym wszystkim był Zenek Barejko, którego Bogdan zwerbował, tu z Otwocka, chłopak. No ale później ja Zenka wykorzystywałem, do powiedzmy, wrzutów, do dostarczania sprzętu do odbiorców już na plany wrzutowe. Ja zorganizowa-

łem, to znowu znajomość jest stara jak świat, znowu osiedle Wawrzyszew oczywiście, Ewa i Krzysztof Kuranowie. Poznaliśmy się gdzieś, kiedyś na jakichś rajdach pieszych z Krzyskiem. No i z tego powstała jakaś przyjaźń, jakieś takie miłe rzeczy. I jak wybuchł stan wojenny, stało się to wszystko, to ja u nich umieściłem tę drukarnię, bo zaczynałem, to znaczy, drukowaliśmy jakąś taką gazetę „Solidarność Walcząca”. To się odbywało u Kuranów, przy pomocy Kuranów i tak dalej, i tak dalej. I w momencie, kiedy ja się znalazłem w Grupach Oporu – to się wtedy specjalnie nazywało – po prostu zabrałem Kuranów z tego drukowania też do siebie. To było, ponieważ Krzysiek prowadził warsztat, powiedzmy, no nie stolarski, ale jakiś takich różnych robót w drewnie, ponieważ wtedy jeszcze nie, ale chwilę później mieli taki domek pod Falenicą w Aleksandrowie, domek, wokół którego był taki naturalny ruch samochodów, no bo warsztat, prawda, więc ja na przykład obudowy do tych „gadał” tak zwanych, do tych głośników, powstawały u Kurana właśnie. Elektronikę znowu robił ktoś inny. U Krzyska był montaż tego wszystkiego. Tych „gadał”. No i w momencie, kiedy przeszedłem do transportów, to wziąłem ze sobą Kuranów. Zbyt dobry lokal, zbyt dobre miejsce, żeby ich marnować, w dalszym ciągu na „gadały”. I ten magazyn działał znakomicie. Nie wiem, czy to opowiadałem o tym, co się wydarzyło, już teraz to roku nie powiem, pewnie 1984, kiedy to zboczeniec seksualny zamordował ich córkę. Zamordował ich córkę. To było samo wydarzenie, samo w sobie. Oprócz tego ten magazyn był pełen, załadowany sprzętem, ile tam tylko mogło się zmieścić. Ludzie w Falenicy zaczęli opowiadać, że bezpieka zamordowała dziecko znanego działacza Solidarności. I do śledztwa podłączono jakiegoś tam kogoś z bezpieki. Obstawiono wszystkie drogi dojazdowe do tego Aleksandrowa. Sprawdzane były wszystkie samochody. Oprócz samochodu Krzyska Kurana, no bo jego nie śmieli. Więc tematem było rozładowanie tego magazynu jak najszybciej, żeby nie doszło do następnego nieszczęścia. Ewa zresztą była w ciąży wtedy, w 7 miesiącu ciąży. Więc Krzysiek ładował do kufra, ile się tam dało. Ja to odbierałem od niego w Falenicy już, w Falenicy, w Falenicy. No i rozwoziłem znowu gdzieś tutaj. To się trochę zmieniło, ale tu taka górka tych powielaczy stała na przykład. Gdzieś to trzeba było upychać. Wtedy zorganizowałem magazyn u mojego dawnego kolegi z technikum, u Jacka Gniatka w Józefowie. On też wtedy rzemiosło prowadził, samodzielnie, stojący dom, więc to było bardzo wygodne. Zorganizowałem magazyn u mojego kolegi od wieku wieków, Zbyszka Ostrowskiego. Może bardziej to była śluza niż magazyn, to znaczy, tam wrzucałem towar, który Zenek Barejko później rozwoził. Bo u Zbyszka nigdy nie było załadowane towarem tak pod ten. No i w którymś momencie... Dlaczego? Widocznie była taka potrzeba, widocznie to było załadowane, w każdym bądź razie wynikł problem znalezienia kolejnego magazynu. I pomyślałem sobie o takim człowieku, który był żołnierzem mojego ojca w czasie wojny, w czasie wojny, no i po wojnie, taki pan Wincenty Bukowski z Milanówka. Oni mieli gospodarstwo rolne na krawędzi Milanówka. Bardzo wygodne miejsce, bo znowu wokół tego gospodarstwa różne samochody, ludzie przyjeżdżali po towar. No więc może by u nich? No i pojechałem tam. Oni byli po tych wszystkich przejściach wojennych i powojennych. Oni w końcu musieli wyjechać z tego Milanówka, z tej wsi, w której żyli wcześniej. Wieś nazywała się Biodry. Wicek został aresztowany. No i po wyjściu z więzienia po prostu nie szło tam zostać. Musieli wyjeżdżać. Kupili ziemię tutaj pod tym Milanówkiem. Dom drewniany rozebrali i przywieźli tutaj. Ten sam, który stał w tych Biodrach. I pojechałem do nich, do Pani Stasi i Pana Wicka. No i mówię, że jest taka sprawa, jest potrzeba magazynowania sprzętu i tak dalej, i tak dalej. Pani Stasia pokiwała głową i mówi: „no to rozpoczęło się od nowa”. Natomiast Pan Wicek, no wyrazili zgodę. Pan Wicek postawił tylko warunki. Pierwsza sprawa: jego synowie mają o tym nic nie wiedzieć. Z mojej strony wiem ja i jeszcze jeden człowiek, który ewentualnie mnie zastąpi. To jest oczywiście Bogdan Sawicki. Pan Wicek po staremu zbudował skrytkę, czyli wejście przez strych, tam na dół pomieszczenie. No i ten sprzęt żeśmy tam gromadzili. Odbierałem ja, odbierał Bogdan, to chodziło. To był

dobrze działający magazyn przez ten cały czas. Też skrytki pana Wicka, to trzeba sięgnąć do zaszłości, do lat, powiedzmy ,46, coś takiego. Kiedy to w tych Biodrach oczywiście pan Bukowski też miał schowek, skrytkę do chowania ludzi w swoich zabudowaniach. No i widzi, że jedzie wojsko do wsi. Więc mówi: „jadą do mnie”. No to Pan Wicek – do dziury i Pana Wicka nie ma. Przyjechali rzeczywiście do nich. Zrobili rewizję. Pana Wicka nie znaleźli, pytają się Pani Stasi: „gdzie on może być?”. – „A on się włóczy, jakieś baby ma, czy co, bo to w domu zastać, to naprawdę ciężko”. A ten oficer mówi: „to my poczekamy”. Czekali trzy dni, Pan Wicek siedział w tej dziurze. Trzeciego dnia ten oficer zawołał Panią Stasię. No i mówi: „wie Pani, gdybyśmy weszli do tej obory, nie będziemy wchodzić, ale gdybyśmy weszli do tej obory, to wie Pani, jakbyśmy weszli na stryszek tej obory... I dokładnie opisał, gdzie jest włącz do tego bunkra, w którym siedzi Pan Wicek. I powiedział jej: „gdybyśmy to wszystko zrobili, to wie Pani, tutaj pod fundamentami tej obory siedzi Pani mąż. Jeżeli ja będę kontynuował tą zasadzkę, to on tam umrze albo z głodu, albo z pragnienia. To ja już skończyłem, my wyjeżdżamy. Tylko mam do Pani wielką prośbę, niech Pani mu powie, żeby on tam się więcej nie chował. Od początku ten człowiek, oficer KBW, wiedział, czego ma szukać i gdzie ma szukać. To normalny, porządny człowiek. I tam się znalazł tej IV Dywizji Piechoty z tego, czy z innego powodu, ale do czerwoności było mu jak najdalej. No to właśnie te magazyny. Jeszcze cały czas ten magazyn Bogdana... Dąbrowskich... Nie jestem w stanie sobie imienia przypomnieć, wszystko jedno. Wtedy też nie wiedziałem. I oprócz tego Bogdan i znowu Pani Lucyna. Bogdan miał jakieś takie zaplecze na farbę, na matrycę i wszelką inną pomoc. W Pruszkowie Pani Lucyna – zapomniałem nazwiska. W sumie nas tak strasznie dużo nie było, bo to było raptem dwadzieścia parę osób. I tylko. I my ześmy nigdy nie zwiększali tego zespołu. Tak, żeśmy zwiększyli. W którymś momencie pojawił się w naszym kręgu taki Wiesio Moryc. Moryc, dobrze, to samo Kuranty – Kurany, Kuran, Pan Kuran i Pani Kuranowa. Wiesio był Moryc, a nie Moruc, jak go często pisałem. Wiesio był inżynier elektryk, ale robił na taksówce, miał taksówkę. To, że to ja dokooptowałem Wiesia. Na przykład sprzęt na Górny Śląsk dla Tadka Jedynaka no to wiozłem z Wiesiem tam do tych Katowic. Bo to taksówka, to w razie czego, to on nie musi wiedzieć, co wioził i tak, etc., etc. Ale poza tym, żeśmy nie kooptowali nowych ludzi. My byliśmy samodzielni, jeśli chodzi o środki transportu. Po prostu w sumie tych samochodów było dużo naszych. Więc tak się działo. Człowiek, który wtedy miał samochód, miał dojeżdżać do wszystkiego, no bo ma samochód, to podwiezie, to przewiezie, to przerzuci. I tak też działał Kotarski, prawda? On bardzo często właśnie podłączał się przez to, że on przewiezie, bo on ma samochód. My byliśmy samodzielni, samochody były nasze. Nie było problemu. W tym zespole jeszcze Wojtek Fabiński, znalazł taką grupę, ja tych ludzi widziałem raz w życiu, być może moja pamięć coś myli, ale chyba bardzo niewiele, w każdym bądź razie jeden z tych ludzi, ich tam było chyba dwóch chłopaków, taki zespół, a może trzech, w każdym bądź razie jeden z nich był podchorążym albo oficerem Wojska Polskiego. Więc był taki zespół, ja z niego nie korzystałem, Wojtek chyba też nie korzystał. Natomiast skorzystałem raz, jak odbierałem ten transport po zatrzymaniu Svena na granicy. On miał rodziców za Wyszkiem, no i tam oni ten sprzęt przewieźli. To nieco sprzętu było, bo to były dwa Żuki, no to... Musiało ich być trzech na pewno, może czterech. W każdym razie ten chłopak był wojskowym, był z Ludowego Wojska Polskiego. Ja myślę, że nawet można by było gdzieś go jakoś znaleźć. Myślę, że Ewa Fabińska może sobie przypomnieć, Bo Wojtek Fabiński nie żyje. Nie wiem, czy mówiłem to może poprzednim razem, ale w każdym razie Wojtkowi się zeszło, już go nie ma niestety. Ale dla mnie to był bardzo ważny epizod, bo to był bardzo ciężki odbiór wtedy. No i wtedy właśnie ten zespół, którego nigdy ześmy nie wykorzystywali.